



PANI
ZGLISZCZ

MARIA ZDYBSKA



MARIA ZDYBSKA

PANI
ZGLISZCZ



*Wszystkim, którzy przez zgliszcza swoich marzeń
uparcie dążą do celu.
Trzymam za was kciuki. Ta książka jest dla was.*

ROZDZIAŁ 1

KASSIEL

Ulice Świętego Miasta zaścielały trupy.

Jeden obok drugiego, osunięte bezwładnie na ziemię, spokojne i ciche. W wąskich gardzielach starożytnych uliczek tarasowały gdzieś niedzie przejście. Zalegały na bruku, przy nędznych kawiarnianych stolikach, opadłe na plastikowe krzeselka. Tłoczyły się wśród straganów z turystyczną tandetą i wokół wejść do obleganych przez wycieczki zabytków, ale koncentrowały się przy drogach wiodących poza mury starożytnego miasta, zatrzymane w szaleńczej próbie ewakuacji przed napaścią Szeolitów.

Kass w milczeniu brnął do przodu, starając się wymijać ciała. Byłe dalej, byłe przed siebie, byłe się nie zatrzymywać. W głowie kłębiły mu się chaotyczne fragmenty wspomnień, których nie potrafił wyprzeć poza granicę świadomości.

„To był jedyny sposób” – szeptała w jego głowie Inanna, uspokajająco i łagodnie. „Jedyna słuszna droga”.

Nie wierzył jej. Przeklinał ją za te słowa. Nienawidził za to, co zrobiła. Owszem, przegrali z Samaelem przy Szóstej Bramie, dzięki jego szantażowi życiem Nikki, ale mieli jeszcze czas, żeby zastanowić się, co dalej. Nadal nie było za późno, wciąż istniała szansa na powstrzymanie szturmu Szeolitów.

„To ja jestem Siódmą Bramą” – powtarzała bez końca w jego głowie Inanna, a nóż, który wbiła we własną pierś, rozkwitał szkarłatem jak przepiękna róża.

Pamiętał, że patrzył na tę krew, rozplywającą się po jej koszulce, i po raz pierwszy w życiu naprawdę się bał. Nawet jeśli ofiara z własnego życia odsunęła widmo apokalipsy, to dla Kassa w tej chwili świat właśnie się skończył. Jego ukochana poświęciła swoje życie po tej stronie murów, żeby chronić dusze przed unicestwieniem. Zapieczętowała ostatnią bramę własną krwią, składając ostateczną ofiarę.

– Niech cię szlag, Ini... Ty i te twoje zabawy w zbawicielkę świata – warknął, nie zwracając uwagi, że mówi sam do siebie, a potem przypomniał sobie słowa tego sukinsyna, Dantego:

„Jeśli nie ma nikogo, dla kogo przeklniesz cały świat, zniszczysz nawet siebie, ten świat może równie dobrze iść w cholerę”.

Akurat w tym jednym się z nim zgadzał. Niemal machinalnie skręcił w kolejną ciasno zabudowaną alejkę starego miasta, wiedziony żołnierskim instynktem. Jerozolima robiła wrażenie całkowicie wymarłej, jakby aniołowie śmierci przeszli tymi uliczkami tuż przed nim. Trupy, wszędzie trupy i hordy Szeolitów tropiące nieliczne ślady boskiej krwi wśród ocalałych.

Kiedyś widział już podobne sceny, ale to było dawno, bardzo dawno temu, w czasach znacznie bliższych bogom. W czasach, kiedy sam wymierzał sprawiedliwość mieczem, z żarliwym zapałem wyręczając swoich bezlitosnych panów. Cóż za ironia losu... Elohim musieli mieć ponure poczucie humoru, bo te wspomnienia pochodziły właśnie z tego miejsca. Dziesiątki tysięcy zarżniętych przez krzyżowców cywili. Ostateczny upadek ludzkiego miłosierdzia, mord pod sztandarami wzniosłych ideałów. Krzyki, jęki i błagania konających. Głośne modlitwy umierających kierowane do niewłaściwego boga. Wzgórze Moria zabryzganę świeżą krwią.

Tym razem nie było jednak najmniejszych śladów brutalnej śmierci. Tym razem przyszła cicha i łagodna jak sen, a wokół nie było już nikogo, kto świętowałby wygraną.

Samael zniknął, a ten kłamliwy szczur Dante podążył jego plugawym śladem, dokądkolwiek prowadził. Ini... Ini odeszła, na krótko po tym, jak horda Szeolitów wtargnęła przez szóstą zrujnowaną bramę Irkali i rozpierzchnęła się po odkrytym grobową ciemnością mieście.

Żadne z nich nie mogło jednak mienić się zwycięzcą, bo jakim zwycięstwem jest władztwo nad zrujnowanym światem?

Usłyszał warkot. Niski, niespieszny, jakby jakaś bestia napawała się tą krótką chwilą, która dzieliła ją od ostatecznego rozszarpania ofiary. Niebezpieczeństwo. Wyuczone przez wieki instynkty natychmiast zapanowały nad chaotycznym marszem Kassa przez uśpione miasto. Zatrzymał się, naprężył mięśnie ramion, a w jego dłoniach natychmiast zmaterializował się świetlisty młot – Szarur, jego święta broń. Przyjemny, znajomy ciężar przynajmniej częściowo przywrócił trzeźwość oszołomionemu umysłowi. To walka była jego właściwym żywiołem. Życie było o wiele prostsze, kiedy nie znał niczego innego poza odwagą, furią i bólem. Takie było jego życie przed Ini... A teraz... teraz nie wiedział już nic, poza tym, że przeżył. O ile to miało w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Zwłaszcza że nie był pewien, czy nadal miał jeszcze o co walczyć.

Siłą nawyku przyłgnął do chropowatej powierzchni prastarego muru i ostrożnie wyjrzał za róg. W gęstym mroku z trudem rozpoznał niewielki dziedziniec przed Bazyliką Grobu Świętego. Tutaj trupów nagromadziło się zdecydowanie więcej. Zapewne uciekający przed Szeolitami chrześcijanie w popłochu szukali zbawienia u swojego jedyne boga. Kassiel wykrzywił twarz w gorzkim uśmiechu. Doskonale pamiętał czasy, gdy na miejscu ich najważniejszej świątyni stał dumny posąg rzymskiej Wenery, jedynej bogini, którą zamierzał jeszcze kiedykolwiek czcić. Wizja zapomnianego wcielenia Inanny zmusiła jego mięśnie do mobilizacji, niemal bez udziału woli. Poczul, jak jej znamię zaczyna pulsować żywszym blaskiem w poprzek jego piersi, a rozbudzone serce wygrywa rytm starożytnych wojennych bębnów.

Ostrożnie przesunął się wzdłuż ściany, poprawiając chwyt na trzonie niedawno zmaterializowanego młota.

Ciała, kolejne ciała. Mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy. Nie słyszał, jak umierali. Żadnych krzyków, żadnych jęków, wezwań do bogów, przekleństw czy płaczu. Odeszli dokładnie tak, jak odeszła ona. Niespodziewanie i zbyt nagle, żeby dotarło do niego w pełni to, co się właściwie stało. Zostawili po sobie jedynie nieznośną ciszę wymarłego świata.

Nie patrzył im w oczy. Trupy nie miały własnej tożsamości. Wi-
dział je wyłącznie jako uciążliwą przeszkodę w przeprawie do nieokre-
ślonego jeszcze celu. Tak było łatwiej. Nie mógł już przecież niczego
dla nich zrobić. Tak, jak nie mógł niczego zrobić dla niej.

Z trudem przełknął ślinę, usiłując rozluźnić zaciśniętą szczękę. Tak
czy siak, był gotów. Oderwał się od muru i wążąc znajomy ciężar młota
w dłoniach, obrzucił uważnym spojrzeniem przestrzeń zagraconego
przez trupy placyku. Ciemność nie była tu zupełnie jednolita. Kłę-
biła się i falowała rytmicznie, jak całun skrywający wciąż żyjącą istotę.

„Istoty” – poprawił się w duchu. Co najmniej dwie... nie, trzy bestie,
trzech Szeolitów i to z rodzaju tych najbardziej przerośniętych, które
czaiły się w najpaskudniejszych zaułkach Międzymurza. Rozpoznał je
po cuchnących zgnilizną oddechach, po miażdżącej płuca negatywnej
energii wysysającej wszystkie życiodajne iskry, po podnoszącym włoski
na karku odgłosie pazurów ślizgających się po kamieniach wytartych
kolanami pielgrzymów.

„Via dolorosa” – dotarło do niego nagle. „Droga cierpienia”. Było coś
przewrotnego w fakcie, że to właśnie na jej krańcu natknął się na te
trzy potwory, których z pewnością nie stworzył żaden miłosierny bóg.
Nie miały przecież w sobie niczego, co mogłoby zrównoważyć wy-
pełniającą ich żyły bezwzględną nienawiść, która teraz krok po kroku
pchała je ku niepozornej, ludzkiej dziewczynie.

Kassiel cicho stawiał kolejne kroki. Dziewczyna robiła wrażenie
sparaliżowanej strachem. Utknęła znieruchomiała na samym środku
placyku, wyciągając przed sobą bezradnie ramiona jak ślepiec bez-
skutecznie szukający drogi. I choć wyglądała całkowicie pospolicie,
w zwiewnej niebieskiej sukience w drobne kwiaty, z płóciennym
plecakiem przerzuconym przez plecy i w brzydkich, turystycznych
sandałach, to niemożliwe, żeby była zwyczajnym człowiekiem. Jako
śmiertelniczka nie przetrwałaby ostatniej z plag wypuszczonej przez
zniszczoną przez Samaela bramę. Podczas gdy ludzka część stwo-
rzenia leżała wokół pokotem, ona nadal oddychała, nadal walczyła
o przetrwanie, chociaż przecież nie mogła mieć najmniejszych szans
z trójką takich napastników.

„Dżinn” – sklasyfikował ją szybko w myślach Kassiel. „Może nawet ifryt, zważywszy na bliskość pustyni”.

Jeden z Szeolitów wydał z siebie przeszywający świst, coś pomiędzy krzykiem hieny a syczeniem węża, i napał do przodu. Dziewczyna zamachała rękami, odruchowo starając się chronić twarz, a może po prostu wolała zasłonić oczy, mierząc się z przerażającym końcem. Żałośnie słaba próba obrony zdołała jedynie na chwilę odwlec śmiertelny atak. Druga bestia rozłożyła poszarpane, kościste skrzydła i uniosła wydłużony, gadzi pysk, żarłocznie wpatrując się w jakiś punkt na ziemi. Dopiero wtedy Kass dostrzegł, że u stóp dziewczyny rozciąga się ciało i to nie jakiegokolwiek ciała, ale tak łudząco podobne do niej samej, że mogło należeć wyłącznie do identycznej bliźniaczki.

„Nie... nie bliźniaczki” – uzmysłowił sobie z zaskoczeniem. To była ta sama dziewczyna. To była ta sama osoba – ale w dwóch postaciach, jako człowiek i jej wieczny duchowy towarzysz, arabski demon, Karin, który właśnie mierzył się z najdotkliwszą dla jego rodzaju stratą.

Trzecie monstrum wysunęło ociekające cuchnącym jadem kły i wtedy dwaj jego bracia ostrzegawczo zawarczeli, uzurpując sobie prawo do usidlonej ofiary. Pazury niecierpliwie drapały o kamienie, skrzydła uderzały o nierówne mury, wzniesając głuche echa w spustoszonej mieście. Boska iskra Karina, chociaż wątła i zbrukana jego pokrętną naturą, i tak skutecznie wabiła Szeolitów, obiecując choćby chwilowe nasycenie ich pierwotnego głodu.

Kassiel odepchnął się plecami od ściany i kryjąc się za rozłożystą sylwetką jednej z bestii, ruszył cichym truchtem w kierunku Karina. Nie przemyślał tego. Nie miał na to czasu ani ochoty, nie było w tym żadnej strategii, żadnego wyższego celu, tylko głód walki i irracjonalna potrzeba zadawania bólu. Nie chodziło zresztą nawet o ocalenie bliźniaczki. Bez swojego człowieka duchowy demon-towarzysz i tak nie mógł samotnie przetrwać, i tak był już zgubiony, ale zemsta... zemsta była tym, czego Kass teraz potrzebował.

Naprężył mięśnie ramion i wziął głęboki oddech. Znalazł się już w połowie drogi do rozpaczającej dziewczyny, kiedy bezsilnie opadła

na kolana obok swojego ludzkiego odbicia i zaczęła płakać, zawodząc coraz bardziej przejmującym i coraz mniej przypominającym człowieka głosem.

Nawet bez tego oszałamiającego lamentu sama obecność nadnaturalnej istoty na tyle skutecznie zmaćla zmysły Szeolitów, że na moment utracili czujność. A moment był wszystkim, czego potrzebował wytrawny wojownik pokroju Kassiel.

Ostatnie metry przemierzył już biegiem, wraz z prędkością nabierając impetu, który przełożył na pierwszy zadany z dziką furią cios. Głuche uderzenie w potężne cielsko przerodziło się po chwili w satysfakcjonujący gruchot, kiedy wykręcony atakiem rogaty łeb Szeolity eksplodował czarną posoką, a muskularne cielsko runęło na ziemię.

Kassiel z wprawą obrócił młot wokół własnej osi, pozbywając się przy okazji strzępów skóry i reszty cuchnącej krwi. Kolejny oddech przyszedł mu łatwiej, rozluźniając część bolesnego napięcia w piersi, a następny cios przyniósł coś na kształt ulgi. Tym razem przeciwnik walczył bardziej zajadle, z rozmysłem wykorzystując wszystkie swoje koszmarnie deformacje. Wydłużone kły błyszcząły od cuchnącego jadu, a gigantyczne ptasie szpony okazały się śmiertelnie ostre. Kass na przemian atakował i odsuwał się, nieustannie krążąc wokół napastnika. Rejestrował jego atuty i słabości, uczył się sposobu, w jaki walczył. W końcu mocnym zamachem rozbijał swój młot nad głową i opuszczał go w sam środek ruchliwego, kolczastego ogona, miażdżąc jednocześnie i mięśnie, i kości. Potwór wydał z siebie gulgotzący krzyk i plując trucizną, rzucił się z dziką wściekłością na wroga. Polegając wyłącznie na wyuczonych przez wieki odruchach, demon zawirował w niemal tanecznym półobrocie, unikając wydłużonych szponów, by w ostatniej chwili odeprzeć niespodziewane uderzenie trzeciej z bestii. Młot wbił się z przyprawiającym o mdłości młasnięciem głęboko w coś, co stanowiło zapewne odpowiednik klatki piersiowej makabrycznego potwora. Cios zamiast powalić, jedynie go jednak rozjuszył, a Kass zaklął w duchu, uzmysławiając sobie z niedowierzaniem, że półpłynna tkanka zaczyna szybko krzepnąć wokół trzonu Szarura, skutecznie go w ten sposób unieruchamiając. To było

coś nowego. Szarpnął natychmiast za rękojeść, raz i drugi, a potem spróbował go wykręcić, ale bestia, widząc jego próby, dodatkowo zacisnęła ogromne łapska na młocie i gwałtownie przyciągnęła do siebie, rechocząc.

Kass splunął na paskudną, trzęsącą się mordę, a potem czując już na plecach oddech drugiego nadciągającego potwora, zawiesił się całym ciężarem na uwięzionym Szarurze. Wbił stopy w skamieniałą skórę bestii u nasady młota i z całej siły odepchnął, wahadłowym ruchem przenosząc ciężar ciała na przeciwną stronę. Siła odrzutu, skontrowana z nagłym zderzeniem z najeżoną ostrzami głową napastnika, wystarczyła, aby wyrwać broń Kassiel z trzewi potwora, jednym ostrym ruchem rozplątując jego cielsko, tak jak patroszy się rybę. Kiedy Refaita wylądował na rozciągniętym bezwładnie Szeolicie, wystarczyło jedno solidne uderzenie w zdeformowaną czaszkę, aby ostatecznie zakończyć jego plugawe istnienie.

I wtedy to usłyszał. Dopiero gdy gulgot dławiącego się własną krwią Szeolity ucichł, dopiero gdy wzburzony oddech Kassiel zwolecił i wyrównał tempo, a zaskoczony Karin urwał swój zawodzący lament.

Szept. Niewyraźny, gorączkowy, ale z całą pewnością ludzki. Pośpiesznie mamrotane słowa, brzmiące słabo i niezrozumiale jak senne majaczenie. Kassiel natychmiast gwałtownie zadarł głowę, uważnie skanując otoczenie w poszukiwaniu źródła nieoczekiwanego dźwięku. W pierwszej chwili skupił spojrzenie na Karinie, ale cienisty zarys młodej dziewczyny z równym zaskoczeniem patrzył się na swoją bliźniaczkę, która właśnie niespokojnie poruszyła głowę i powoli przewróciła się na bok.

Kassiel zaklął przez zęby. Dziewczyna żyła, a skoro miał do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem, to istniała szansa, że nie była jedyna, że mijane po drodze trupy wcale nie były trupami, a Nikki...

Kass zacisnął pięść i młot rozplął się złotą poświatą wśród nocnego mroku, a potem wstał i zostawiając mamroczącą turystkę pod opieką Karina, ruszył Via Dolorosa z powrotem ku Złotej Bramie.

ROZDZIAŁ 2

INANNA

Nie słyszała upadku siódmej bramy.

Dziwne. Wszystkie poprzednie eksplodowały z ogłuszającym hukiem, rycząc i trzeszcząc donośnie, kiedy rozpadały się prastare mury chroniące świat śmiertelnych przed koszmarami Międzymurza. Tym razem jedynym dźwiękiem towarzyszącym otwarciu wrót do Irkalli był jej własny, urwany oddech. Potem wszystko umilkło, a rzeczywistość rozpadła się na niewyraźne strzępy. Spazm przeszywającego bólu. Ostatnie westchnienie. Ostatnie uderzenie jej ludzkiego jeszcze serca, a potem już zupełnie nic, tylko wszechogarniająca cisza. Cisza, która zdawała się nie mieć przyczyny ani końca i która być może była zarówno jednym, jak i drugim.

Trwała w tej ciszy, kontemplując niewysłowiony spokój, jaki ją ogarnął. Miękkie, dziwnie lepkie uczucie, od którego nie mogła się uwolnić, unosiło ją bezwładną i rozluźnioną, tak jak łagodna toń nocnego jeziora kołysze ciałem topielicy. Pozwoliła rozpierchniętym myślom krążyć swobodnie wokół, zmysłom bez ograniczeń brodzić w tej dziwnej, niematerialnej przestrzeni, w której została zawieszona bez udziału swej woli, skupiając się wyłącznie na ostatnim przebiegu świadomości, że oto nareszcie nadszedł koniec.

Czas mijał, przeciekając przez palce wraz z wodą czerpaną drżącymi dłońmi z głębi czarnego jeziora. Cisza trwała jednak nadal, uparta i nieograniczona, aż w końcu, w miejsce spokoju Inannę zaczęło wypełniać gorzkie zwątpienie. To nie był koniec. Nie dla niej.

Z niechętnym wysiłkiem otworzyła oczy i zmusiła się do skupienia uwagi na tym, co ją otacza. Przestrzeń wokół nie była jednak niczym konkretnym, a w każdym razie niczym, co dałoby się nazwać ludzkimi słowami. Nie stanowiła ani bytu, ani nicości, tylko nieokreślone coś pomiędzy, coś, co zapewne mogłoby stać się jednym albo drugim, ale w tym dziwnym nie-miejscu trwało na zawsze niezdecydowane, w pół drogi pomiędzy śmiercią a istnieniem.

A więc trafiła do Gardzieli... Ponownie zamknęła oczy, jak niewyspany dzieciak, który walczy z natarchywym dźwiękiem budzika o poranku. Nienawidziła tego miejsca i nie tego się spodziewała, ale tak czy inaczej, nie mogła tu zostać. Gardziel była jedynie Przed-sionkiem i jak każdy Przed-sionek służyła wyłącznie przekraczaniu kolejnych drzwi. Ktoś, kto utknął w Gardzieli, przestawał należeć do któregośkolwiek świata, wpadał w szczeliny pomiędzy nimi, skazany na torturę półśmierci, podobnie jak Szeolici gnieżdżący się na wieki w Międzymurzu.

Musiała działać. Nakazała sobie oddychanie. Wdech i wydech. Raz za razem. Głupi, ludzki nawyk, podstawowa konieczność wszystkich śmiertelnych, wyznaczająca ich nudny, życiowy rytm z nieomylną regularnością, od narodzin aż do śmierci. Dla bogini, nawet tej umarłej, oddychanie było jedynie zbędnym odruchem, prześmiewczym naśladownictwem materialnej ludzkiej egzystencji, trywialną zabawą. Z każdym wydechem Inanna odzyskiwała jednak więcej i więcej świadomości, aż w miarowym ruchu swej piersi odnalazła w końcu niespodziewane ukojenie. Pamięć tego, kim była, docierała do niej z trudem, jak niekompletne fragmenty zniszczonej przez czas mozaiki. Wspomnienia, uczucia, przeżycia.

„Och, Kass...” – pomyślała z goryczą, zaciskając powieki tak mocno, żeby nie wypuściły ani jednej łzy.

Po oddechu skupiła się na ludzkich zmysłach. Przypomniała sobie o ciepłej pieszczocie słońca na twarzy, gdy patrzyła w niebo, o soczystej zieleni berlińskiego Tiergarten, w którym biegała co rano przed wyjściem do Muzeum Pergamońskiego, o jazgoczącej muzyce, którą puszczała Nikki w ich wspólnym mieszkaniu, celowo doprowadza-

jąc Ini do białej gorączki, o niebiańskim smaku pizzy z podwójnym serem, którą jadły zawsze, gdy potrzebowały pocieszenia, a także wtedy, gdy miały jakąś okazję, by świętować. O uwodzicielskim zapachu świątynnego kadzidła i dzikiego miodu, o złotych drobinach błyszczących w bursztynowych oczach Kassiel, kiedy patrzył na nią jak wojownik na warowną twierdzę, którą zamierzał za wszelką cenę zdobyć. O płomieniu na jej skórze, który wzniecał swoimi żarliwymi pocałunkami, o sposobie, w jaki wymawiał jej imię, jakby wielbił ją i przeklinał zarazem.

Przypomniała sobie to wszystko, co składało się na jej ziemskie życie. Chwile radości i nadziei, chwile uniesienia i ekstazy, rzadkie momenty ulotnego szczęścia, szczegóły, banały, drobiazgi, przyzwyczajenia, a dalej ból i wstyd, żal i poczucie winy, bezsilność i strach konsumujące wszystko inne. Czy właśnie tak umierali ludzie? Pełni wyrzutów sumienia i niespełnionych szans? Przytłoczeni smutkiem i bezsensownością swojego istnienia? Czy właśnie to czuli, trafiając do Gardzieli? Inanna nie miała pewności. Tak naprawdę nie była przecież człowiekiem. Tylko bawiła się w śmiertelniczkę, tak jak Samael bawił się w boga. Kiedy więc otworzyła oczy i odzyskała panowanie nad ciałem, zrozumiała, że w przeciwieństwie do zwykłych ludzi nie czekał ją jeszcze koniec. Jako bogini Zaświatów wracała właśnie do domu.

ROZDZIAŁ 3

KASSIEL

Nikki wyglądała tak mizernie i żałośnie, skulona na progu rozsypanej w proch Złotej Bramy, że Kassiel nabrał nagłych wątpliwości, czy jego podejrzenia były właściwe. Przyklęknął obok niej i ostrożnie odgarnął pokryte pyłem i sadzą włosy z jej bladego czoła, a następnie nachylił się, z uwagą nasłuchując oddechu. Z początku myślał, że się pomylił. Za cud uznawał sam fakt, że ta niepozorna dziewczyna o mikrym, wychudzonym ciele, z patykowatymi ramionami i kościstymi kolanami podlotka w ogóle przeżyła eksplozję szóstej bramy. Kiedy zaraz potem rozpętało się piekło, zgodnie z nakazem Inanny starał się ją chronić, ale w chaosie bitewnej wrzawy wszystko mogło się wydarzyć. A jednak nie wydarzyło się. Dziewczyna przeżyła. Kassiel ściągnął brwi, gdy wykrzywione bólem usta Nikki poruszyły się delikatnie, a powieki zatrzepotały jak skrzydła umierającego motyla.

– Ini... – Ledwie słyszalny szept przypominał przejmujące westchnienie.

Refaita zacisnął zęby i uważnie podniósł dziewczynę z ziemi. Jej ciało było lekkie i całkowicie bezwładne, ale i tak przeklął w duchu na myśl, jak trudno będzie mu przekradać się między grasującymi po Jerozolimie Szeolitami z takim ładunkiem na rękach. Nie udało im się wybić wszystkich, którzy przedarli się przez ruiny szóstej bramy, a sądząc po osaczonym Karinie, bestie rozpierzchnęły się wokół, patrolując miasto w opętańczym poszukiwaniu boskiej esencji. Zadarł głowę w kierunku gruzów podwójnego łuku bramy, przez które prześwitywał rozległy dziedziniec Wzgórza Świątynnego.

– Moria... – mruknął do siebie Kassiel. Jego głos zabrzmiał nieprzyjemnie i chropowato, jak pokruszone kawałki prastarych murów. Musiał podjąć decyzję. Za plecami miał stary mużułmański cmentarz i ogród Getsemani, przed sobą połyskującą starym złotem nawet w trupich ciemnościach kopułę Meczetu na Skale, pod którą kryło się Sancta Sanctorum, miejsce najświętsze, wybrane przez samych Elohim na początku tworzenia świata. Problem w tym, że jeżeli miał szukać schronienia dla swojej śmiertelnej podopiecznej, to Wzgórze Świątynne wydawało się albo najlepszą, albo absolutnie najgorszą opcją. Szeolici z dużym prawdopodobieństwem nie mogliby wdrzeć się do Sancta Sanctorum, ich plugawa natura nie powinna im na to pozwolić. Z drugiej strony emanacja boskości z pewnością stanowiła nieodpartą pokusę dla ich wiecznego głodu.

Spojrzał przez ramię, nasłuchując. Znad Getsemani niósł się niski pomruk, który w zwyczajnych okolicznościach można by wziąć za pustynny wiatr zwiastujący burzę. Tyle że to nie były zwyczajne okoliczności. Sześć piekielnych bram zostało zrujnowanych, wypuszczając na ludzkość kolejne plagi. Społeczne niepokoje i strach, gwałtowne burze, falę zamieszek i przemocy, zły wiatr i awarię technologii, ciemność, a w końcu to dziwne zaśnięcie, półśmierć, która wydawała się pozbawić przytomności wszystkich śmiertelników. Kiedy gałęzie wiekowych drzew oliwnych poruszyły się niespokojnie pod wpływem nienaturalnego tchnienia, Kass wyłowił wśród szelestu liści złowieszcy syk, który nie mógł mieć nic wspólnego ze zmianą pogody.

Wyteżył wzrok. Między pokruszonymi przez czas nagrobkami przemknął skrzydlaty cień. Niewiele dalej zamajaczył zaraz drugi, podobny kształt. Kassiel bardzo wątpił, żeby to były anioły. Bliskość cmentarza i ich wyraźne zainteresowanie ludzką dziewczyną temu przeczyły, nie wspominając o zmijowym syku poprzedzającym ich pojawienie się. Kiedy jeden z nich zaczął się zbliżać, Kassiel dostrzegł w mroku złowieszczy krwawy blask dzikich, nienasyconych oczu i ostatecznie wyzbył się reszty wątpliwości. Szedim, skrzydlate demony z hebrajskich legend, były śmiertelnie niebezpiecznymi przeciwnikami, nawet dla kogoś takiego jak on. Chociaż nie należały do potworów Szeolu, na próżno szukałby w nich sprzymierzeńców.

Refaita podrzucił ostrożnie bezwładną Nikki, poprawiając ramiona i usiłując dobrać najwygodniejszy dla obydwojga sposób jej transportu, a potem westchnął i wkroczył w zrujnowane łuki bramy. Cokolwiek czekało go na Morii, wydawało się teraz lepszym wyborem niż bezpośrednie starcie z całą sforą czyhających na cmentarzu Szedim.

Przejście, zasklepięte dotąd kamieniami, wiodło do podwójnych wrót: Drzwi Miłosierdzia i Drzwi Pokuty. Przez umysł Kassiel przebiegła ponura myśl, że była to niezwykle trafna metafora tego, co właśnie się dokonało. Poświęcenie Inanny i odkupienie, na jakie się zdobyła. Śmierć, która miała ocalić dusze śmiertelnych. Bogini miłości i wojny nieoczekiwanie stała się boginią miłosierdzia. Jeżeli jednak ktokolwiek miał powód, by pokutować, to był to on. Morderca i najemnik, bezwzględny i niepowstrzymany, zniewolony przez własne marzenie o wolności, przez co wpadł w sidła Samaela, a teraz, wraz ze śmiercią Inanny, stracił wszystko, co mogło nadać jego marnej egzystencji nowy sens. Kassiel przekroczył bramę, a gdy postawił pierwszy krok na kamieniach Świątynnego Wzgórza, Nikki ponownie westchnęła we śnie i jej usta bezgłośnie zawołały imię przyjaciółki. Zmęczony Kass mocniej przycisnął mikre ciało do swojej piersi. Jej blada twarz robiła w mroku upiorne wrażenie. Wątpła, bezbronna istota, która jakimś cudem związała swój los z potężną boginią. Dotąd nie miał okazji zamienić z dziewczyną nawet słowa, ale po wszystkim, co zaszło od momentu pojawienia się Samaela, czuł na sobie ciężar ostatniej woli Inanny, która nakazała mu ją chronić.

„Wyzwolony niewolnik i niedoszła samobójczyni” – pomyślał z gorczyką. Inanna zaprawdę musiała mieć dziwną słabość do rzeczy ułomnych. Być może była nie tylko panią Cieni, lecz także królową wyrzutków.

Plac Wzgórza Świątynnego wydawał się niemal całkowicie opustoszały, jeśli nie liczyć rozsianych chaotycznie na jego przestrzeni ciał uspiomych ludzi. Mimo to Kassiel ze zdwojoną uwagą przyglądał się wszystkim nieprzeniknionym pląmom mroku pomiędzy cyprysami i sosnami, przysłuchiwał każdemu szelestowi, uważnie skanując

wszelkie podejrzane ślady czyjejś obecności. Kiedy kroczył z Nikki w ramionach wprost ku Kopule na Skale, mierzył się z nieokreślonym uczuciem niepokoju, który narastał z każdym pokonanym metrem. W pewnej chwili wydawało mu się, że słyszy nadlatujących Szedim, gwałtownie odwrócił się za siebie i kątem oka dostrzegł skraj ciemnych, błoniastych skrzydeł, które miękko falowały w zastygłym jak w grobowcu powietrzu. Spojrzał dalej za siebie i choć nie zobaczył już niczego więcej, odetchnął. To tylko galla. Wierne demony Innany, strzegące granicy między światami i towarzyszące ludziom w ich ostatnich chwilach. Zważywszy na fakt, że wszyscy wokół zdawali się balansować na granicy życia i śmierci, nie dziwił się ich obecności. Byli w połowie drogi, gdy daleko w dole rozległ się wściekły ryk nieprzypominający niczego, co pochodziło z tego świata, a zaraz potem wtórujące mu wycie szakali. W tym ostatnim grał zarówno gniew, jak i triumf i Kass natychmiast pomyślał o półmaterialnej sforze Anubisa ścierającej się z Szeolitami. Nie widział Anubisa od chwili, gdy rozstali się w Asuanie, ale nie miał powodu wątpić, że prastary bóg cmentarzy i śmierci był w stanie wyjątkowo sprawnie przemieszczać się po ludzkim świecie.

Kolejny nieludzki ryk rozbrzmiał znacznie głośniej. Gwałtowne uderzenie wiatru pochyliło smukłe cyprysy okalające dziedziniec Wzgórza Świątynnego. Drugi, trzeci i czwarty, bestie po kolei nawoływały głosami podnoszącymi włoski na karku, każdy kolejny krzyk bliżej i bliżej i po krótkiej chwili do przeraźliwych, nieludzkich zawodzeń dołączył odgłos galopujących kopyt i dudniących głucho ciężkich kroków. Szeolici zbliżali się z zatrważającą szybkością, a Kasiel nie zamierzał sprawdzać, jak blisko najświętszego miejsca będą w stanie podejść. Przyspieszył do truchtu i w końcu, przeklinając, zaczął biec tak szybko, jak było to możliwe z nieprzytomną dziewczyną na rękach. Błyskawicznie pokonał kolejne metry, kiedy rozległ się ostrzegawczy syk, cuchnący zgnilizną zły wiatr przybrał na sile i zafurkotały skrzydła nadciągających znad cmentarza Szedim. Teraz gonili go napastnicy na ziemi i na niebie.

– To chyba nie jest mój szczęśliwy dzień – mruknął do siebie.

Meczet stał się ich jedyną szansą, a właściwie to, co znajdowało się głęboko pod nim. Bir el-Arweh – Studnia Dusz. Muzułmanie wierzyli, że w tej jaskini, ukrytej głęboko pod Kopułą na Skale, dusze mają oczekiwać na sąd ostateczny, a chrześcijanie od najazdu Babilończyków ukrywali tam Arkę Przymierza. Kassiel nie zamierzał kwestionować teraz ich niezłomnej wiary. Skoro grota wydawała się wystarczająco bezpiecznym miejscem dla najświętszego artefaktu chrześcijan i miała skutecznie chronić muźmańskie dusze, to z pewnością nadawała się na kryjówkę przed ścigającymi ich bestiami. W najgorszym przypadku głęboka jaskinia mogła być po prostu niezłym schronem.

Refaita nie odwracał się więcej. Nie reagował ani na złowieszcze skowoty, ani na coraz wyraźniejszy furkot skrzydeł. Nie było czasu na wątpliwości. Minął Kopułę Łańcucha i dopadł ściany meczetu, a pokrywające fasadę turkusowe płytki zamigotały mu przed oczami jak pustynny miraż. Szybko obiegił potężny, zwieńczony arkadami ośmiobok, a potem, nie zwalniając, wbiegł do środka, ścigany wściekłym sykiem nadciągających Szedim. Prawie rzucił Nikki na posadzkę, wyswobadzając ręce, a potem, zapierając się całym ciężarem, zamknął opornie przesuwające się skrzydła ogromnych drzwi. Nie miał pojęcia, czy meczet stanowi jakieś zabezpieczenie przed hebrajskimi skrzydlatymi demonami i potworami z dna Szeolu, ale uznał, że zaryglowane odrzwia z pewnością utrudnią im wdarcie się do wewnątrz.

Dopiero teraz demon pozwolił sobie na głębszy oddech i rozejrzał się uważniej po ozdobionej mozaikami sali. Nikki mamrotała coś zapamiętałe, a jej szept odbijał się upiornym echem po ośmiokątnej arkadzie, zwieńczonej biało-czarnymi kamieniami. Nie pamiętał, kiedy dokładnie był tu ostatnim razem, ale to miejsce niezaprzeczalnie nadal miało w sobie tę samą potężną energię, której nie dało się pomylić z niczym innym na całej ziemi. Wrażenie czyjejś stanowczej i celowej obecności koncentrowało się na potężnym fragmencie surowej skały, którą skrywała monumentalna złota kopuła. Wszystkie bestie w promieniu kilku kilometrów musiały doskonale wyczuwać tę moc, ale Kass liczył na to, że była zbyt czysta w swej świętości, żeby poważły się na jawną napaść.

Niemal dokładnie w chwili, gdy ta myśl pojawiła się w jego świadomości, coś ciężkiego uderzyło w drewniane drzwi, raz i drugi, sycząc tak zajadle, że poczuł nerwowe mrowienie na karku.

– Pieprzone ptaszydła – burknął pod nosem i zaraz skrzywił się, rozważając, czy dopuścił się bluźnierstwa, przeklinając w takim miejscu. W końcu kiedyś, u zarania dziejów, był bożym bojownikiem. Czempionem Elohim, wiernym sługą Najwyższego, bezwzględnie wykonującym jego prawo. Dopiero potem stał się tym, czym był, zanim spotkała go Inanna. Najgorszym przekleństwem tego świata. Jedno bluźnierstwo więcej nie miało więc w zasadzie znaczenia. Cóż za ironia losu, że teraz ktoś taki jak on szukał azylu w Sancta Sanctorum.

Podniósł nadal nieprzytomną Nikki i dla ułatwienia sobie dalszego marszu przerzucił ją przez ramię, jakby miał do czynienia ze zwykłym pakunkiem, a potem ostrożnie wyminął rozciągnięte na ziemi ciała kilku pobożnych muzułmanów. Szybko odnalazł stare, wąskie schody krzyżowców, wiodące kilkanaście metrów niżej, pod masyw gigantycznego kamienia, wprost do Studni Dusz. Dudnienie w drzwi nasilało się z każdą chwilą, a gdy Kass pokonał już pierwsze stopnie, ogarnęło go nieprzyjemne wrażenie, że ziemia zatrzęsa się pod jego stopami, zaś nad meczetem przeszedł basowy burzowy pomruk. Cokolwiek to było, bardzo chciało ich dopaść.

ROZDZIAŁ 4

INANNA

Droga do Irkalli była stroma. Ludzie tak chętnie wyobrażali sobie piekło jako ponurą czeluść gdzieś w niezmierzonej głębinie pod powierzchnią ziemi, a tymczasem Cienie umierających ludzi wędrowały wyłącznie w górę, zupełnie jakby kres ziemskiego życia uwalniał je od wyniszczającego ciężaru grawitacji.

Wyże – w czasach Inanny tak właśnie określano niekiedy to miejsce. W przeciwieństwie do Dolnego Świata śmiertelników Wyże znajdowały się znacznie bliżej domeny Elohim i zarazem wystarczająco daleko od ludzi, żeby zapewnić Cieniom upragniony spokój. Jej rolą, jako pani Zaświatów, było dbanie o ich wieczne bezpieczeństwo. Święty obowiązek, któremu samowolnie się sprzeniewierzyła, pozwalając na upadek sześciu kolejnych kręgów murów. Bezradna, słaba i żałośnie zagubiona, dopiero w ostatniej chwili zdobyła się na decyzję, która zapieczętowała ostatnią z bram.

– Zbyt późno... – powtarzała sobie z goryczą, mozolnie pnąc się w górę. – Zbyt późno... – rozpacziała, kolejny raz obarczając się nieskończonymi wyrzutami sumienia. – Zawiodłaś ich... – mamrotała półprzytomnie, boleśnie kalecząc dłonie o ostre kamienie. – Zgubiłaś ich wszystkich – szlochała bezgłośnie, choć ze zmęczenia nie stać ją było już nawet na łzy. Dżinsy rozdarły się na kolanach, gdy bez wprawy wspinała się na kolejne wzniesienie. Koszulka przylgnęła do spoconego ciała, brudna od potu, pustynnego pyłu i krwi.

Pozwoliła sobie na zbyt wiele. Dała sobie szansę na życie jako człowiek. I chociaż bogowie i demony od zawsze bezkarnie przenikali

ziemski świat, chętnie smakując wszelkich ludzkich rozkoszy, to jej decyzja była zbyt pochopna. Nie miała prawa postąpić tak egoistycznie. Nie miała prawa do takich błędów. Nie była przecież tylko żywiołową Inanną, panią miłości i wojny, ale i Ereszkigal, czułą i waleczną opiekunką Zaświatów.

Była Gwiazdą Zaranną i Gwiazdą Wieczorną, jej natura utkana w równych częściach z mroku, co ze światła. Dwa oblicza będące swoją odwrotnością i tak skrajnie odległe, że niekiedy miała wrażenie, że nosi w sobie dwie odrębne dusze. Inanna i Ereszkigal. Dzień i Noc. Miłość i śmierć. Przez długie wieki jej dwa wcielenia toczyły nieustanną walkę o pierwszeństwo, a ona bez końca miotła się między przeciwstawnymi domenami. Nigdy dotąd nie opuściła jednak Irkalli na tak długo. Nigdy dotąd nie spędziła wśród ludzi tylu nieprzerwanych lat. Nigdy dotąd nie była im tak bliska, że sama zaczęła coraz bardziej ich przypominać, że pozwoliła sobie zapuścić korzenie, że stała się prawie... ludzka. Żałośnie ludzka – jak bez wątpienia powiedziałby to Dante. Podły, zdradliwy Hermes, któremu wbrew rozsądkowi pozwoliła się do siebie zbliżyć, a który potem odebrał jej Nikki.

„Za późne żale i płonne nadzieje” – pomyślała, mobilizując wszystkie siły. To nie był czas na rozpacz. W końcu ostatnia z bram przetrwała. Nie wszystko zostało zaprzepaszczone.

Coraz pewniej stawiała kolejne kroki na stromej ścieżce prowadzącej z Gardzieli. Kręta droga wiodła wyżej i wyżej, aż w końcu Inanna, zbierając resztki nadwątlonych sił, wdrapała się na krawędź pustynnego płaskowyżu, ciągnącego się piaszczystą połacią daleko poza horyzont i znacznie dalej niż sięgała ludzka wyobraźnia. Mówiło się, że dopiero tam, poza krańcem murów, rozciągał się Tiamat, niezmierny ocean stworzenia, a na jego odległym brzegu na wybrańców czekały Wyspy Szczęśliwe. Inanna nie była jednak pewna, czy Elohim byli na tyle wielkoduszni, żeby je stworzyć.

Bogini wzięła głęboki oddech i skupiła wzrok na zarysie tego, co pozostało z jej przedwiecznego królestwa. W zimnym blasku martwego słońca imponujące mury Irkalli iskrzyły się bladą poświatą.

W takim świetle wyglądały prawie pięknie, bo trudniej było dostrzec wszystkie szczyrby i wyrwy przecinające potężne ściany jak niezabliźnione bitewne rany. Im bardziej zbliżała się do ich pierwszego kręgu, tym wyraźniejsze wydawały się zniszczenia. Wyszczerbione krenelaże, nierówne krawędzie brakujących fragmentów, rozcięcia w monolitycznych blokach i osypujące się segmenty zewnętrznych podpór. Pierwsza z bram, które upadły po wybuchu wojny w Syrii, na długo zanim Inanna zdała sobie sprawę z nadchodzącej apokalipsy, leżała w gruzach. Ziejący otwór przypominał szczyrzącego się złośliwie krokodyla, któremu brakowało części zębów.

Czy właśnie tak wyglądała teraz jej dziedzina? Czy właśnie tym się stała? Królową ruin i zgliszcz? Krew w niej zawrzała. Nie powinna na to pozwolić, ale była zbyt krótkowzroczna i słaba, żeby powstrzymać Samaela, może też za bardzo zapatrzona w siebie. Zbyt długo pozwalała sobie na bycie człowiekiem.

– Nigdy więcej – rzuciła przez zęby wyzwanie, którego nikt na tym pustkowiu nie mógł przecież usłyszeć. Dłonią odruchowo dotknęła tego miejsca na sercu, w które tak niedawno wbiła sztylet. Plama czerniejącej krwi zakwitła na jej koszulce jak jesienna róża. Ostateczna pieczęć, która zamknęła ten rozdział w jej życiu i zmieniła ją w kogoś zupełnie nowego.

Nie czuła już bólu. Jej obecne ciało było tylko duchową repliką ludzkiej powłoki, którą dla siebie stworzyła. Realistyczne i na zewnątrz od niego nieodróżnialne, a jednak pozbawione tej szczególnej iskry, która sprawiała, że śmiertelnicy byli w jej oczach tacy wyjątkowi. Choć więc powróciła do swej znacznie doskonalszej boskiej tożsamości, to nie mogła pozbyć się natrętnego wrażenia, że o czymś niewybaczalnie zapomniała, że czegoś dramatycznie jej brakuje, lecz utraciła to bezpowrotnie.

– Zagubiłaś się? – dobiegł ją nagle delikatny, kobiecy głos. Słowa wypowiedziane prawie szeptem, łagodne i miękkie, jakby ktoś nie chciał jej wystraszyć. Ini znała ten głos, wypełniony w równych częściach słodyczą, co smutkiem, chociaż nie mogła sobie przypomnieć skąd.

Z trudem zmusiła zmysły do koncentracji. Od czasu przejścia Gardzieli jej myśli rozpiezchały się jak stado spłoszonych wron, a teraz błądziły pomiędzy różnymi poziomami jej świadomości, wypełniając każdą jej cząstkę nowym odcieniem niepokoju. Była zrozpaczona i zła, była winna i żądna zemsty, była żałośnie słaba, a zarazem silniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Przytomniej rozejrzała się wokół. Stała w progu pierwszej bramy, a raczej w środku tego, co z niej pozostało. Na jednym z odrzuconych z impetem ogromnych granicznych kamieni przycupnęła smukła istota, utkana wyłącznie z cieni.

Inanna otworzyła usta, żeby jej odpowiedzieć, ale im dłużej wpatrywała się w kontur cienistego oblicza, tym wyraźniejsze stawało się wspomnienie i słowa zamaryły na ustach bogini. Te szlachetne rysy półprzezroczystej, bladej twarzy okolonej aureolą kruczoczarnych loków były zbyt charakterystyczne, żeby mogły należeć do kogokolwiek innego.

– Beatriss – wymówiła to imię równie zaskoczona, co przerażona, uświadamiając sobie natychmiast znaczenie tego spotkania. Największą miłość Dantego, którą pochował wiele wieków temu, nie powinna tułać się tak blisko przejścia pomiędzy światami. Nie tak dawno widziała jej sobowtóra w Budapeszcie, w osobie tego przekłętego ludverca, który sprzymierzył się ze ścierwami z dna Szeolu. Ini nie wątpiła jednak, że przed nią stoi obecnie autentyczna wersja Beatriss, albo raczej jej nieśmiertelne tchnienie, i to odkrycie sparaliżowało boginię lękiem. Beatriss nie tylko nie powinna, lecz także nie miała prawa tu być. Ludzkie Cienie chroniły się dotąd bezpiecznie za ostatnim, siódmym kręgiem murów Irkalli, pogrążone we własnej wersji wiecznego spokoju. Tak zbudowany został odwieczny porządek życia i śmierci. Jeśli jakaś dusza zawędrowała tak daleko, to oznaczało to wyłącznie zaburzenie świętych reguł. Chaos, który nie zwiastował niczego dobrego.

– Wszyscy i tak jesteśmy zgubieni – stwierdziła nieoczekiwanie Beatriss, nie doczekawszy się reakcji ze strony Inanny, a na jej widmowych pełnych ustach zamajaczył przeprasający uśmiech.

Ini nadal milczała, rozważając ukryty kasandryczny podtekst w tych słowach, kiedy tuż obok zjawiskowej kobiety powietrze zawirowało ciemniejszą smugą i z nicości wyłoniły się dwie pary ogromnych błoniastych skrzydeł. Galla. Dwójka milczących strażników krainy umarłych skłoniła nieziemsko piękne twarze, które mogłyby należeć zarówno do kobiet, jak i do mężczyzn, oddając niemy hołd swojej pani. Ini odpowiedziała im oszczędnym skinieniem i nerwowo zacisnęła szczękę. Ich widok natychmiast skojarzył się jej z Nikki, jej przyjaciółką, której galla od kilku lat zdawały się nie odstępować na krok. Nie była do końca pewna, czy życzyłaby sobie, żeby nadal przy niej trwały, czy wręcz przeciwnie, w końcu ich obecność zwiastowała rozpacz lub śmierć, a Nikki zdawała się kroczyć przez życie w oparach nieodłącznego smutku. Te galla, które nieoczekiwanie zmaterializowały się u boku Beatriss, choć równie oszałamiające w swej androgenicznej urodzie, nosiły jednak bolesne ślady niedawnej batalii. Gładką strukturę ich skrzydeł znaczyły szramy i blizny, a ramiona i twarze szpeciły niezagojone jeszcze rany. Ich widok ścisnął serce Inanny poczuciem winy, ale jako Ereszkigal zmarszczyła tylko gniewnie brwi.

– Nie powinno jej tu być. – Wskazała podbródkiem na Beatriss.

Galla pochyliły czoła, przyjmując do wiadomości niewypowiedziany rozkaz. Ich skrzydła miękko uderzyły powietrze, raz i drugi, i Beatriss, prawie jak w hipnotycznym transie, ostrożnie zsunęła się ze swojego ogromnego kamienia. Jej powłóczysta suknia rozpląnęła się w nicość tuż przy ziemi, kiedy ruszyła w głąb Irkalli, prosto ku drugiej bramie.

– Chodź. Poprowadzę cię – oznajmiła z tą samą łagodną perswazją, z którą pytała wcześniej Ini, czy się zagubiła, a potem zachęcająco wyciągnęła do bogini niewyraźną dłoń.

Inanna nie zareagowała na ten gest, ale ruszyła za zjawą, bez słowa przyglądając się znajomemu piaszczystemu pustkowiu.

Podobnie jak wrota, które po kolei rujnował Samael, tak i Międzymurze istniało jako przestrzeń wyłącznie warunkowo. Naruszenie tego odwiecznego porządku wypuściło na świat ludzi śmiertelnie

groźne bestie, zburzyło jednak także i gwarancje stabilności Zaświatów. Im głębiej Inanna wkraczała w domenę umarłych, tym boleśniej przekonywała się o rozmiarach zniszczeń. Srebrne piaski pustyni miejscami czerniły się od obrzydliwej, smolistej mazi. Stada ogromnych kruków rozrywały na strzępy bezkształtne ścierwa powalonych w niedawnej walce potworów i oszpecone ranami ciała galla. Nieruchome powietrze nasycił smród trupiej zgnilizny, a w każdym kawałku cienia Ini dopatrywała się skulonych, dyszących niecierpliwie bestii. Pandemonium, które rozgrywało się w Dolnym Świecie, odbijało się echem w Irkali. Jak dwie strony lustra równoległe światy mierzyły się z podobnym koszmarem – zmaterializowanym przedwiecznym złem, które nie należało do żadnego z nich.

Druga z bram była jedynie bezkształtną wyrwą rozrywającą harmonijną linię nadkruszonych murów.

„Ateny” – pomyślała z goryczą Inanna, przypominając sobie otwarcie przejścia w Propylejach, do którego brutalnym szantażem zmusił ją Kassiel. Wspomnienie wydawało się tak odległe, jakby należało do kogoś zupełnie innego. Zresztą, może właśnie tak było. Może ta dziewczyna zapatrzona w terażniejszość śmiertelnego życia wcale już nie istniała. Może umarła zwyczajnie jak człowiek, wykrwawiając się od ciosu nożem prosto w serce. Może Kass po latach całkiem o niej zapomni.

– Weź się w garść! – warknęła sama do siebie, lecz na tyle głośno, żeby Beatriss na chwilę przystanęła i spojrzała na nią z iskrą żywszego zainteresowania. Dziwne. To wszystko było zresztą nie tylko dziwne, lecz także zupełnie niezgodne z odwiecznym porządkiem Zaświatów. Po śmierci ludzie zatracali się we własnym bycie, obojętnieli, w każdym razie na tyle, żeby ignorować mamroczących do siebie bogów.

Za drugim kręgiem murów Ini dostrzegła kolejne Cienie. Snuły się samotnie po chaotycznych trajektoriach srebrnej pustyni jak komety, które nie mogły zdecydować się na grawitację żadnej z mijanych gwiazd. Nie rozmawiały ze sobą, nie robiły niczego konkretnego ani nawet odlegle groźnego, ale sam fakt, że przebywały poza swoją bezpieczną krainą, wypełniał Inannę dławiącym strachem. To ona była

odpowiedzialna za ich wieczny odpoczynek i to ona powinna przywrócić teraz zaburzony porządek. Tylko nie za bardzo wiedziała jak.

Inanna zwołniła kroku, żeby zwiększyć dystans dzielący ją od Beatriss, a kiedy uznała, że ukochana Dantego znajduje się dostatecznie daleko, zwróciła się do ciągnących za nią galla.

– Jak udało się wam odeprzeć atak Szeelitów? – zapytała, z uwagą przyglądając się reakcjom skrzydlatych demonów. Nie spodziewała się oczywiście odpowiedzi. Galla nie mówiły. W zasadzie też nie były jej podporządkowane w tradycyjnym znaczeniu, były lojalne jedynie wobec śmierci. Mimo tego przez wieki jej królowania nad światem umarłych udało im się zbudować szczególną więź i Inni wiedziała, że poza Netim po tej stronie życia mogła liczyć wyłącznie na nich.

Raz jeszcze z uwagą przyjrzała się subtelnym rysom galla. Na światłości ich jasnych oczu kładł się ledwie dostrzegalny cień wstydu, doprawionego zaciętym gniewem. Inanna westchnęła, uświadamiając sobie, jaka była prawda. Atak Szeelitów ich zaskoczył i z pewnością nie skończył się wygraną skrzydlatych strażników. Prawdopodobnie dopiero jej szalony pomysł ze złożeniem ofiary z własnego życia powstrzymał agresję tych bestii. Jak mogła jednak być tak naiwna, by sądzić, że jedno pchnięcie ostrza w serce zatrzyma całe to rozpoczęte przez Ślepego Boga szaleństwo?

Mijała kolejne bramy w zaciętym milczeniu. Każdy krok w głąb Irkalli przekonywał ją boleśnie o porażce. Z każdym pozbywała się kolejnej warstwy wątpliwości i żalu. Z każdym przypominała sobie wszystkie poprzednie wcielenia. Była rozrywkową celebrytką z L.A., a później ekspertką sztuki z Berlina, skrzywdzoną i kruchą kobietą, a potem opiekuńczą przyjaciółką. Znacznie wcześniej przybierała przecież jednak jeszcze inne twarze. Była dziką Lilit, pierwszą, która zbuntowała się przeciwko absolutowi Elohim, była potężną Izydą i zmysłową Hathor, była piękną Afrodytą i mądrą Ateną, była bezlitosną Hel i waleczną Freją, a teraz, jeśli miała dostać szansę na obronę Cieni, przyszedł w końcu czas, żeby na powrót stała się Ereszkigal – czułą dla swoich Cieni i okrutną dla wrogów.

Za korowodem wcieleń, za mnogością imion, kultów, symboli i żyć ciągnęło się coś jeszcze. Nieokreślona mroczna obecność, jak powiew

mroźnego nocnego powietrza, które wpadło przez uchylone zbyt szeroko okno. Ktoś uparcie za nią podążał. Była tego pewna. Umykając przed ukradkowymi spojrzeniami rzucanymi za siebie przez Inannę-Ereszkigal, tropił ją od samej Gardzieli, pozostając stale na peryferiach widzenia. Nie potrafiła go dojrzeć ani rozpoznać, nie potrafiła go zgubić ani zdemaskować. Sunął za nią jak resztki koszmarne- go snu, tym bardziej niepokojącego, że jego istota zatarła się w mglistej nie- pamięci gwałtownego przebudzenia. Krok w krok. Brama za bramą. Przeznaczenia nie dało się oszukać.

ROZDZIAŁ 5

KASSIEL

Grota pod Meczetem na Skale była pusta. Kassiel ułożył bezwładną Nikki na jednym z bogato zdobionych dywanów i uważnie zlustrował niewielkie pomieszczenie w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć do odparcia ataku Szedim. Nierówne ściany z surowej skały oświetlały tylko niewielkie lampy, a ich żółtawy blask sprawiał, że całe pomieszczenie wydawało się tonąć w promieniach zachodzącego słońca. Dokładna inspekcja czterech mihrabów, mużułmańskich nisz modlitewnych, nie przyniosła jednak żadnych pomocnych odkryć i Kassiel zazgrzytał zębami, sfrustrowany, że azyl okazał się pułapką bez wyjścia. Kilka prostych krzesełek, drewniana półka na Koran i dwa plastikowe wentylatory nie wyglądały ani trochę obiecująco.

Kilka razy przemierzył jeszcze pośpiesznie długość niewielkiej groty. Jeśli wierzyć krzyżowcom, to gdzieś głęboko pod marmurową posadzką skrywała się tajemna komora, w której przechowywano niegdyś Arkę Przymierza. Żaden znany przekaz, żaden mit czy rozprawa naukowa nie mówiły jednak nic o drodze wyjścia z tej kamiennej twierdzy, chociaż instynkt wojownika podpowiadał mu, że dla skrytki przeznaczonej na najcenniejszy artefakt potężnej religii musiał istnieć jakiś sposób ewakuacji. Jego rozważania przerwał przerażający dźwięk. Wysoko w górze rozległ się najpierw głęboki pomruk, a potem coś raz po raz zaczęło bębnić w kopułę meczetu. Krótkie pauzy wypełniały wściekle zmijowe syki. Skrzydlate bestie z żydowskiego cmentarza nie zamierzały dać za wygraną.

Nikki wierzgnęła gwałtownie we śnie, znów mamrocząc coś niezrozumiałego, a stojące na jej straży galla poruszyły nerwowo skrzydłami. Kass rzucił im nienawistne spojrzenie. Jak na demony śmierci wydawały się raczej mało pomocne w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Zaklął cicho i usiadł na szerokim marmurowym stopniu, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co pamiętał o Szedim. Nikt do końca nie wiedział, skąd się wzięły. Niektórzy uważali je za potomstwo demonicznych węży, inni za plugawę bestię spłodzone ze związku człowieka z demonem albo nawet samego Adama i Lilit. Kass wolał nie myśleć o tej akurat wersji. Nigdy nie wypytał Ini o jej burzliwą przeszłość i chyba nie chciał znać wszystkich szczegółów. Jedno było pewne, Szedim to istoty mroku, wabiła je noc i śmierć, a starożytny cmentarz spowity wieczną nocą, którą przyniosła ze sobą plaga szóstej bramy, z pewnością pobudził je do działania. Teraz, gdy zwęszyły Nikki, ze smakowitą ludzką duszą zawieszoną pomiędzy życiem a śmiercią, nie zamierzały tak po prostu odejść.

Kass zaklął i z trudem powstrzymał się przed odruchowym splucnięciem w reakcji na ogarniające go paskudne przeczucia. Ochrona Nikki była ostatnim zadaniem, jakie wprost zleciła mu Ini. I chociaż jej piętno, wyryte wprost na skórze, Refaita nosił z dumą, to jednak nie mógł zignorować faktu, że oznaczało bezwzględne posłuszeństwo wobec jasno wyrażonych żądań bogini. Nawet jeżeli Inanna odeszła.

„Będę popiołem pod twoimi stopami...” – przypomniał sobie własne słowa.

Nie mógł stracić Nikki. Nie mógł zawieść Inanny. Bez względu na cenę.

Jego wzrok błędził przez chwilę chaotycznie po nierównej, piaskowej skale, aż w końcu zatrzymał się na mihrabie Sulejmana.

– Salomon – mruknął do siebie, po raz pierwszy czując iskrę złudnej nadziei, a potem wykrzywił się w ponurym półuśmiechu. – Nie zasłużyłeś na takie ołtarze, ty żądny władzy, przebiegły sukinsynie.

Doskonale go pamiętał. Żydowski król, którego muzułmanie uznali później za jednego z największych proroków, a któremu niezliczone ugrupowania religijnych odszczepieńców przypisywały władzę nad

istotami mroku. Kassowi nigdy nie udało się dociec, czy te plotki miały w sobie choćby krztynę prawdy. Mityczna pieczęć Salomona miała pozwalać na przywoływanie duchów, ale przy odpowiednim zastosowaniu zapewniała też zarówno ochronę przed, jak i władzę nad demonami. W innych okolicznościach Kassiel prychnąłby z lekceważeniem na takie pomysły, zwłaszcza że Salomona pamiętał wyłącznie jako ambitnego władcę, który dla swoich celów chętnie posługiwał się najemnikami, nie maga. Nigdy też nie widział demonów w służbie króla, a zasady wytyczania kręgów pieczęci Salomona ustalono na długo po jego śmierci, co podawało w wątpliwość przypisywane zaklęciu autorstwo. Wątpliwa iskra nadziei zakiełkowała więc w jego umyśle zupełnie bezpodstawnie. To był głupi, naprawdę głupi pomysł. Tym razem Kass był jednak w desperacji i postanowił zdecydować się na desperackie kroki.

Żmijowe syki Szedim ponownie rozległy się nad powierzchnią ziemi, a zaraz potem głuchym echem rozbrzmiały uderzenia sugerujące coraz wściekłejsze ataki na mury świętego przybytku. Nawet tu, pod ziemią, wygłodniałe bestie wyczuwały śmiertelną dziewczynę i najwyraźniej nie zamierzały odejść bez walki. Być może sprawiła to wieczna noc, być może zły wiatr i zaśnieżenie ludzi, a może chaos, które przyniosły ze sobą zastępy Szeolitów, Kass nie miał pewności. Nawet przez chwilę nie wątpił jednak, że oto chwiejna równowaga pomiędzy światami została nieodwracalnie naruszona i właśnie rozpoczął się wyścig o ludzkie dusze oraz ukrytą w nich bożą iskrę. Czas grał na jego niekorzyść.

Z większą uwagą przyjrzał się po kolei nielicznym przedmiotom, stanowiącym ascetyczne wyposażenie świętego miejsca. W końcu zdecydował się na oderwanie drewnianej nogi od krzesła, bo spalenie Koranu, nawet w obecnych okolicznościach, wydawało mu się nieuzasadnionym znieważeniem wyznawców islamu. Płomień oliwnej lampy najpierw niespiesznie, jakby na próbę, polizał stare drewno, a już po chwili z żarłocznym sykiem zaczął zwęglać kraniec wykrzywionej belki. Gryzący dym cienką smużką powędrował ku górze, uciekając w ciemność wąskiego komina wydrążonego w świętej skale. Noga od krzesła poczerniała. To wystarczyło.

Kassiel przesunął Nikki pod ścianę, a potem byle jak zwinął grubo tkany dywan, przykrywający zabytkową marmurową posadzkę. Po chwili zastanowienia z pomocą zwęglonego kawałka drewna wyrysował na podłodze potężny heksagram, a potem otoczył go dodatkowym kręgiem. Nigdy nie zgłębiał zbyt wnikliwie tajników gocij, nie znał skomplikowanych zasad konstruowania okultystycznych pieczęci, ale nauczył się podstaw i miał nadzieję, że klucz Salomona nawet w tak okrojonej wersji zapewni podstawową ochronę dla jednej, niepozornej dziewczyny. Nie mógł przecież skutecznie walczyć z całą hordą Szedim i Szeolitów, trzymając nieprzytomną Nikki na rękach, nie zamierzał też beczynnienie tkwić w świętej grocie bez wyjścia, licząc na to, że demony po prostu odpuszczą. Nie przetrwałby w swym nienaturalnie długim życiu tylu bitew, gdyby naiwnie wierzył, że takie zagrożenie można zwyczajnie przeczekać.

Zmarszczył brwi, wpatrując się w wytyczony sadzą kształt. Okultystyczna wersja Gwiazdy Dawida w grocie pod Meczetem Skały, w miejscu przechowywania Arki Przymierza, z pewnością wstrząsnęłyby wyznawcami wszystkich trzech wielkich religii, ale Kass doszedł do wniosku, że równie dobrze może ich wkurzyć jeszcze mocniej. Wkroczył na środek prowizorycznej pieczęci i dodał na jej środku ośmioramienną gwiazdę Inanny, pozwalając sobie przy tym na krótki uśmiech satysfakcji.

– Chronj ją – wyszeptał, przywołując w myślach obraz Ini, a potem przeniósł Nikki na środek czarnej pieczęci. Kiepska modlitwa, ale intencja, jaką włożył w te słowa, była jak najbardziej szczerą.

Mógł mieć tylko nadzieję, że to zadziała. Albo, w najgorszym razie, da mu chociaż kilka minut przewagi podczas pierwszego starcia z atakującymi bestiami. Nikki leżała bez ruchu na środku wyrysowanego zaklęcia, po chwili przewróciła się raptownie na bok i zaczęła głośno chrapać. Kass doszedł do wniosku, że nic nie wskazywało na to, by magiczne znaki jakkolwiek na nią oddziaływały. Nie uszło jednak jego uwadze, że galla trzymały się przezornie poza granicą wyznaczoną kręgiem ochronnym, co pozwalało wierzyć, że Szedim i Szeolitów również uda się utrzymać na dystans. Niewiele więcej

mógł zrobić dla Nikki, więc oczyścił umysł, wziął głęboki oddech i przywołał siłą woli Szarur.

Świetlisty młot zmaterializował się w jego dłoniach wraz ze złowieszczym pomrukiem znad skały, natychmiast wypełniając przestrzeń groty elektryzującą energią. Przez krótką chwilę w przy-mrużonym świetle dogasających lamp zatańczyły złote drobiny. Kurz odbijający nagły rozbłysk mocy. Dotyk emanującego pradawną siłą metalu postawił wszystkie zmysły Kassiel na baczność, a jego serce gwałtownie wyhamowało rytm, z trudem dopasowując się do grzęznącej w spowolnionym czasie rzeczywistości. Ten moment zawsze w równej mierze przerażał go, co zachwycał. Jednocześnie dławił się, ocierał o śmierć i zachłystywał nadnaturalną szybkością, a potem nieodmiennie po prostu rzucał się w wir walki, skrupulatnie korzystając z przewagi, jaką dawały mu jego błyskawiczne reakcje.

Teraz też nie zamierzał zwlekać. Wspiął się w górę schodów. Pierwsze spojrzenie na powierzchnię dało mu przerażającą odpowiedź co do determinacji wygłodniałych Szedim. Drzwi do meczetu zostały brutalnie rozerwane, fragment ściany wraz z kawałkiem sklepienia – doszczętnie skruszony. Kawałki gruzu zawałyły zabytkowe wnętrze, a chmura pyłu targanego złym wiatrem tańczyła w ciemnościach, jakie wypełniły meczet po zniszczeniu pozostałych lamp.

Dwa krwiożercze anioły kotłowały się pod tonącą w ciemności przeciwną ścianą meczetu. Trzy kolejne szarpały się między sobą, nieopodal schodów wiodących do groty nad czymś, co wyglądało jak bezkształtne zwłoki Szeolity.

„Potwory zabijające potwory” – pomyślał z gorzką satysfakcją. „Jakie to perwersyjne”.

Wysączający się z dołu blask wyraźnie trzymał bestie na dystans i Kass w lot pojął jednak, że Szedim po prostu czekały, aż olej lamp wypali się do końca. Bały się światła.

– Niespodzianka! – burknął przez zęby, stając u szczytu schodów, i rozłożył ramiona w zapraszającym geście.

Szedim natychmiast przerwały swoją szarpaninę i obnażyły pas-kudnie wyglądające zęby, sycząc przy tym zajadle. Jeden z nich rozło-

żył ogromne skrzydła, roztaczając wokół siebie woń cementarnego rozkładu.

„Szofar” – przypomniał sobie poniewczasie Kass, robiąc pokazowego młynka swoim młotem i rozgrzewając przy okazji nadgarstki. Według żydowskich legend dźwięk szofaru, instrumentu wykonanego z bawolego rogu, odpędzał Szedim gromadzące się wokół świętego pochówku. Kass szczerze jednak wątpił, by miał szansę natknąć się na szofar w samym sercu jerozolimskiego Wzgórza Świątynnego. Poza tym zdecydowanie znacznie lepiej radził sobie z bronią niż z instrumentami muzycznymi. Z drugiej strony, zważywszy na aktualne upodobania muzyczne ludzi, prawdopodobnie mógłby stać się idolem mas, po prostu rytmicznie rozwalając łby Szedim swoim młotem.

Ta głupia myśl bez ostrzeżenia przywołała wspomnienie Ini miarowo kołyszącej biodrami do podobnie niezrozumiałej melodii w tym odrapanym klubie w budapesztańskim Szimpla Kert. Nie mógł odebrać od niej wtedy wzroku. Nie obchodziło go nawet, że się ujawnił. Nic nie miało znaczenia. Po prostu patrzył na nią jak zahipnotyzowany, napawając się chwilą, w której nie musiał z nią walczyć, a mógł egoistycznie udawać, że są zwykłymi, przypadkowo wpadającymi na siebie ludźmi.

Pierwszy z aniołów zamiótł skrzydłami i ledwie unosząc się nad skałą, skoczył wprost na Refaitę. Natarł na niego z szeroko rozcapierzonymi szponami i sycząc z taką wściekłością, jakby żywił do niego osobistą urazę.

Kass splunął w jego stronę z odrazą, wściekły, że bestia zniszczyła mu tak przyjemne myśli. Potem zadziałał już instynkt. Błyskawicznie stanął w rozkroku, a potem rozbijał się, półobrotem przenosząc cały ciężar ciała na jedną stronę, i z impetem wyrzucił swój młot wprost na szarżującego napastnika. Siła uderzenia natychmiast powaliła go na ziemię, wyrzucając z płuc anioła zaprawiony czarną flegmą kaszel. Kass nadal był jednak w ruchu, przyskoczył do oszołomionego monstrum, brutalnym kopnięciem w brodę prawie skrzył mu kark, a potem poprawił ciosem młota w sam środek czaszki, roztrzaskując ją na obrzydliwą miazgę.

– Który następny? – zapytał, nie bez złośliwej satysfakcji. Jak dobrze było znowu to poczuć. Jak dobrze było eliminować te jadowite bydlaki, jednego po drugim, bez wyrzutów sumienia sycąc się ich bolesną agonią. Chrupot kości i pękających czaszek, jęki bóleści, krzyki przerażenia. To wszystko prawie, prawie odwracało jego uwagę od myśli o Ini. Przynajmniej na chwilę.

W odpowiedzi bestie zasyczały jeszcze zajadlej, ale tym razem podjęły atak z większą rozważą. Jeden cmentarny anioł wzbiał się raptownie w górę, na tyle, na ile pozwalało mu owalne sklepienie meczetu, a potem rzucił się na Kassielą, wykorzystując cały impet, jaki zyskał dzięki nagłej utracie wysokości. W tej samej chwili drugi napastnik próbował obejść Kassa półkolem, wyprowadzając przy tym chaotyczne cięcia wydłużonymi jak ostrza szponami. Kiedy Refaita skupił się na odepchnięciu ataku z powietrza, jeden z ciosów jego towarzysza dotarł do celu i Kass zdławił jęknięcie, gdy jego przedramię przeciął ostry pazur. Ból, niewspółmierny do głębokości rany, natychmiast rozlał się po całym ramieniu gorejącą falą. Jak większość cmentarnych stworów Szedim zapewne wspomagał swe ciosy trucizną.

Kass splunął na tę myśl i poprawił chwyt na trzonku Szarura, a potem zamachnął się, wkładając całą siłę w ruch biodra, i wbił młot w plecy anioła, tuż nad miejscem, gdzie spotykały się jego skrzydła. Bestia zacharczała w bezsilnym proteście, ale uderzenie było tak potężne, że cisnęło ciałem anioła o okoloną biało-czarnymi kamieniami wewnętrzną kolumnadę. Trzeci napastnik ponownie próbował wzbic się w górę, ale polegając na swojej nadnaturalnej szybkości, Kass dobiegł do niego i uczepił się krańca jednego ze skrzydeł, z całą mocą ściągając go w dół, a potem wahałowym ruchem rozbujał anioła wokół własnej osi, rozpędzając go tak długo, aż siła odśrodkowa zrobiła za niego resztę. Monstrum uderzyło o ścianę z niezaprzeczalnie przyjemnym gruchnięciem. Kass miał zamiar podejść i skrupulatnie dokończyć dzieła, dodając dla pewności jeszcze jeden cios, tak jak miał w zwyczaju, ale w prześwicie wyszarpanego przez Szedim przejścia zobaczył nagle kilka par rozjarzonych dzikim blaskiem węzowych oczu.

– Kurwa... – mruknął pod nosem. Dotąd miał wrażenie, że Szedim nie były zbyt licznie występującym gatunkiem. Nie spotkał ich na swojej długiej drodze wielu. Widocznie jednak tym razem znaleźli się zbyt blisko ich ulubionego terytorium albo jedynego pieprzonego rezerwatu tych sukinsynów na całej tej przeklętej ziemi. Zresztą skąd mógł to wiedzieć, w końcu przez całe wieki tkwił uwięziony w Międzymurzu. Nadal z największym trudem nadążał za zmienioną rzeczywistością ludzkiego świata, a teraz mierzył się z cholerną apokalipsą.

Wziął głęboki oddech, przygotowując się do odparcia ataku, ale wraz z wdzierającymi się do meczetu mrocznymi aniołami do środka wpadł gwałtowny podmuch złego wiatru. Pęd rozpędzonego powietrza zamiótł ceglasty pył z rozsypanej ściany, wzbił w górę powyrzwanymi ze skrzydeł Szedim piórami, a potem przez centralny otwór w skale wpadł do wnętrza groty i z sykiem zgasił naraz wszystkie tlące się w niej lampy.

PRZYPISY

¹ *Księga Henocha*, Rozdział 10, 9 za: Ryszard Rubinkiewicz, *Apokryfy Starego Testamentu*, Warszawa 2010.

² Mirosław Barwik, *Księga wychodzenia za dnia. Tajemnice egipskiej Księgi Umarłych*, Warszawa 2009.

³ Mt 3,12 według przekładu w: „Słowo Życia. Parafraza Nowego Testamentu we współczesnym języku polskim”.

⁴ Dante Alighieri, *Sonet 9*, tłumaczenie Felicjana Faleńskiego [w:] Piotr Chmielowski, Edward Grabowski, *Obraz literatury powszechnej*, Warszawa 1895.

⁵ Ibidem.

⁶ Pnt 8,6 (ze zmianami autora), *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2002.

⁷ Mdr 2,5, ibidem.

⁸ Francesco Petrarca, *Canzoniere* (Rerum vulgarium fragmenta) (XIV secolo), *Pace non trovo, et non ò da far guerra*, [w:] Francesco Petrarca, *Canzoniere, testo critico e introduzione di Gianfranco Contini, annotazioni di Daniele Ponchiroli*, Torino 1964.

⁹ Francesco Petrarca, *Pieśni*, przekład Felicjana Faleńskiego [w:] *Felicjana przekład Pieśni Petrarki: objaśnieniami i przypisami opatrzoney*, Warszawa 1881.

¹⁰ Francesco Petrarca, *Sonet 132* [w:] Francesco Petrarca, *Pieśni*, przekład Felicjana Faleńskiego [w:] *Felicjana przekład Pieśni Petrarki: objaśnieniami i przypisami opatrzoney*, Warszawa 1881.

¹¹ Pol. *Jeśli nie naklonię niebios, poruszę piekło*. Wergiliusz, *Bukoliki*, VII, 312, [w:] Józef Lipiński, *Bukoliki Publiusza Wirgiliusza Marona*, Warszawa 1805.

¹² Francesco Petrarca, *Sonet 250*, [w:] tegoż, *Poezje wybrane*, tłum. Jalu Kurek, wybór Jalu Kurek, Warszawa 1969.

Pani Zgliszcz
Copyright © Maria Zdybska
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2024 r.

książka ISBN 978-83-7995-720-0
ebook ISBN 978-83-7995-721-7

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Iga Wisniewska
Korekta: Paulina Kalinowska
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Agnieszka Zawadka
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

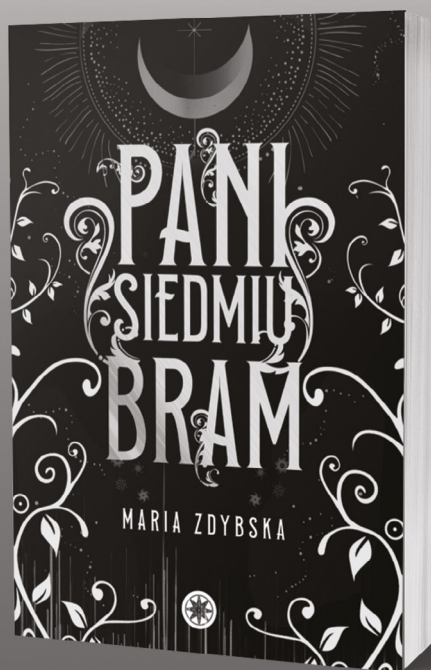
MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarni MadBooks.pl

Mury Irkalli drżą.

Inanna, sumeryjska bogini miłości i wojny, przez wieki znana była pod wieloma imionami. Teraz usiłuje żyć jak zwykła śmiertelniczka, ale jej spokój niweczy wiadomość, której nie może zignorować.

#urbanfantasy #polskafantastyka





PRZEZNACZNIE MA
KRUCZE SKRZYDŁA

#POLSKAFANTASTYKA #FANTASY



Księżniczka Espery znika w tajemniczych okolicznościach, na krótko po odrzuceniu oferty poślubienia Wielkiego Seneszała Iskandary. Kruchy pokój między zwaśnionymi państwami zawisa na włosku.

#fantasy #polskafantastyka



W świecie, gdzie puszcza włada leszy,
w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród
chat przemykają zmory i strzygonie,
młodziutka Venda musi stanąć na straży
bezpieczeństwa mieszkańców
Wilczej Doliny.

Fantastyczna seria pełna
słowiańskiego uroku!

#POLSKAFANTASTYKA
#LITERATURASŁOWIAŃSKA

